Glödis (3206) – nie rozczarował!

Tekst: Dziku
Zdjęcia: Tomek i Dziku
Wyjazd miał miejsce w dniach 18-19 IX 2020





W centrum Glödis – widziany z Blauspitz



Spojrzenie z południa, czyli z Debanttal



Tak się prezentuje z Lesachtal



Z lewej za Tomkiem Glödis (3206) widziany z Tschadinhorn (3017)



Czerwcowy szlak na przełęcz i „nasza” grań w całej okazałości



Na grani





Po zejściu ze szczytu i zbawiennym trawersie – z tego miejsca widać przełęcz



Tomek na końcowym odcinku grani



Najgorsze podejście z możliwych – każdy kamień tańczy



Lesachtal – piękne miejsce



Na grani



Widok w kierunku Ganota i Hochschobera



Tomek na grani



Aga po zejściu ze szczytu – zmęczona i wesoła



Za mną, ten najniższy punkt u wylotu doliny – jeszcze dziś musimy tam zejść



W końcu w bezpiecznym terenie

Wrzesień 2016

Szczyt ten po raz pierwszy rzucił mi się w oczy podczas wizyty w Kals w 2016 roku, kiedy to z daleka, ze szczytu Blauspitz wyglądał niezwykle intrygująco. Szczególnie zapamiętałem jego odbijającą światło północno-zachodnią ścianę:



W centrum Glödis – widziany z Blauspitz

Podczas tamtej wycieczki mieliśmy się okazję mu przyjrzeć potem z bliska zarówno z Lesachtal…:



Tak się prezentuje z Lesachtal

…jak i z drugiej strony, czyli z doliny Debanttal. Tam prezentuje się nieco inaczej, raczej jak masywny monolit, ale również imponująco:



Spojrzenie z południa, czyli z Debanttal

Zatem góra ta przemówiła do nas wielokrotnie i wystarczająco

jasno:

„Ej! Wy dwoje! Musicie mnie jeszcze odwiedzić!”.

Czerwiec 2019

I faktycznie, 1-go czerwca 2019 roku przyjechaliśmy z Tomkiem i Agą do Lesach, gdzie na Glödis znów się napatrzyliśmy i to w zimowej odsłonie, ale na próbę wejścia na szczyt nie zdecydowaliśmy się. Dlaczego? Było to zaraz po zejściu lawin z nagromadzonego przez zimę i wiosnę śniegu. Z każdego żlebu wyjechały jęzory i nikt nam nie dawał gwarancji, że coś jeszcze nie poleci. Na poniższych zdjęciach widać o co chodzi:



Z lewej za Tomkiem Glödis (3206) widziany z Tschadinhorn (3017)



Czerwcowy szlak na przełęcz i „nasza” grań w całej okazałości

Wrzesień 2020

Przybywamy do Austrii w tym samym składzie co rok wcześniej: Dziku, Aga i Tomek, a celem naszym ponownie jest południowo-zachodnia grań. Pierwszego dnia zakładamy obóz w Lesachalm na wysokości 2000 metrów, po czym ja wyskakuję na szybki spacer na okoliczny 3-tysięcznik, a Aga i Tomek podejmują się szlachetnej misji oczyszczenia szlaku na Glödis. Oczyszczenia z… kuszących, słodkich, dorodnych jagód!

Drugiego dnia startujemy na szczyt koło godziny…

Po gruzie

…6:30. Początkowo zdobywamy wysokość idąc przyjemną ścieżką po stromym zboczu. Następnie wchodzimy na gruz, na masę gruzu, przeraźliwą, ruchomą, niewygodną i męczącą psychicznie i fizycznie kupę kamieni. Idziemy w kierunku przełęczy Kalser Törl nic nie mówiąc, lecz wiadomym jest, że każdy cierpi wewnętrznie, dlatego pod samą przełęczą wybuchamy niemal jednocześnie:

Aga: „Tyle lat po Alpach chodzę, ale po czymś tak obrzydliwym jeszcze nigdy nie szłam”.
Tomek: „To jest nawet gorsze niż przejście lodowca Miage”.
Dziku: „Po tym to nawet Ramolkogel będzie się wydawał piękny”.



Najgorsze podejście z możliwych – każdy kamień tańczy

Pokonując wielkie pole kruszyzny o 9:30 stajemy na przełęczy na wysokości 2806 m. Teraz zaczyna się wspinaczka po…

Grań

…grani – w odróżnieniu od podejścia na przełęcz całkiem przyjaznej. Choć Tomek, gdy zobaczył w co się pakujemy miał ochotę zawołać „Hej! Ja wracam!” to jednak szybko się przyzwyczaił do ekspozycji i pokonywanych trudności. Gdy Aga zobaczyła w co się pakujemy dostała skrzydeł i chciała lecieć z radości po grani. Idziemy równo, lecz w stylu mieszanym – raz bez liny, raz na lotnej, raz na sztywno.



Na grani

Na jeden konkretny styl decydujemy się dopiero w połowie drogi, kiedy góra „wciąga” nam w szczelinę frienda. Pomimo, że możemy go dotknąć, to nie jesteśmy w stanie go wyciągnąć, więc zostawiamy ofiarę i dalej postanawiamy iść bez asekuracji. Od tego momentu tempo jest wyśrubowane przez Agę, która znika

gdzieś z przodu i wspina się po skałach jakby ją co goniło. Po godzinie 12-tej Aga znajduje się już na charakterystycznym końcowym odcinku grani: szerokim, składającym się z wielkich bloków skalnych. Ja jestem gdzieś w strefie przejściowej, a Tomek na końcówce tej mniej nachylonej, ale mocno eksponowanej grani. I wtedy następuje…

Huk

…huk tak potężny, że nie do opisania słowami. Aga twierdzi, że góra się zatrzęsła, mi przyszło na myśl, że któryś z okolicznych szczytów pękł na pół, Tomek nie wiem co pomyślał, ale jedno jest pewne: takie przeżycie trafia się co najwyżej raz w życiu.



Operacje naddźwiękowe są „same w sobie raczej rzadkie”. Są potrzebne tylko wtedy, gdy odległość jest tak duża, że kontakt □□jest możliwy do osiągnięcia tylko z naddźwiękiem – powiedział rzecznik armii. Zdarza się to jeden raz w roku.

Dźwięk rozchodzi się w powietrzu z prędkością 340 metrów na

> *sekundę. Jeśli samolot zbliża się do tej prędkości, na maszynie pojawiają się fale uderzeniowe. Są one odbierane na ziemi jako dźwiękowy efekt. Siła wybuchu zależy między innymi od wysokości, struktury terenu i warunków pogodowych. Szczególnie w dolinach górskich grzmot słychać stosunkowo daleko i głośno.*
>
> *źródło: https://tirol.orf.at/stories/3067651/*

Kiedy odgłos wybuchu odbijał się od okolicznych gór i stopniowo cichł zastąpił go jednostajny odległy szum silników samolotu. Na niebie dojrzałem też wtedy jedną maszynę zostawiającą za sobą typowy ślad. Czy był to jeden z samolotów biorących udział w akcji? Nie wiem, równie dobrze mógł to być jakikolwiek inny samolot, na którego wcześniej nie zwróciłem uwagi. Po chwili wszystko się uspokoiło, a my skupiliśmy się na naszej wspinaczce.

Szczyt

O 12:55 jesteśmy pod krzyżem na szczycie o wysokości 3206 m n.p.m. Tu spotykamy kilkoro turystów, którzy weszli ferratą z południowej strony góry.
Rzuca mi się w oczy nienaturalnie różowy, rozmiaru wielkości dłoni kamień, a na nim napisany tekst:

> *Allen, die durchhalten und den sieg erringen, gebe ich vom baum des lebens zu essen der im garten gottes steht.*

Wszystkim, którzy wytrwają i osiągną zwycięstwo, daję pokarm z drzewa życia, które stoi w ogrodzie Boga.



My nasze małe zwycięstwo odnieśliśmy, choć do pełni szczęścia brakuje jeszcze bezpiecznego zejścia, dlatego już 10 minut

później podążamy wzdłuż ferraty na dół. W planie jest zejście szlakiem kilka kilometrów i około 500mH w dół, następnie podejście 300mH od południowej strony na przełęcz Kalser Törl, z której wychodziliśmy na grań i powrót po gruzie do miejsca startu. Następnie zejście do auta na wysokość 1300 m n.p.m. i powrót do Polski – *pestka*!



Za mną, ten najniższy punkt u wylotu doliny – jeszcze dziś musimy tam zejść

Ryzykowny trawers

Widzieliśmy z przełęczy, że po południowej stronie jest ten sam syf z nagromadzonych skał co po północnej. Do tego po przeliczeniu kilometrów, jakie musimy pokonać – robiło się słabo. Ale cóż – chcieliśmy, to mamy i trzeba to przyjąć na klatę, ale oto na wysokości 2850 nadchodzi zbawienie. Moją uwagę zwracają nietypowo ułożone kamienie jedne na drugich. Nie na tyle nienaturalnie, żeby mieć pewność, ale jednak dające nadzieję, że może coś ktoś próbował tym przekazać? Zostawiam plecak i robię zwiady, a im dalej się posuwam, tym nadzieje na bezpieczny trawers rosną, więc biegnę z dobrymi

wiadomościami do Agi i Tomka. Mimo kłócących się myśli i nie zawsze przyjemnych doświadczeń ze skrótami podejmujemy decyzję: ryzykujemy i skracamy drogę.
To był strzał w 10-tkę, ponieważ pokonując stosunkowo łatwy teren schodzimy zaledwie jakieś 100 metrów poniżej przełęczy. Tylko ostatni odcinek podejścia przemęczamy po kruszyźnie i w zaledwie 1h45´ od szczytu jesteśmy znów na przełęczy!



Po zejściu ze szczytu i zbawiennym trawersie – z tego miejsca widać przełęcz

Zejście

Koło 17-tej wracamy do namiotu. Przed nami godzina zasłużonego odpoczynku, a potem zejście na parking. Wszystko zgrywa się na styk, bo ciemność otacza nas dosłownie 100 metrów od auta. To była intensywna i wspaniała przygoda – Glödis nie rozczarował.



Tomek na końcowym odcinku grani